I.

Jest wyroczne znaczenie w wieczornych wyrokach,
gdy szumią nad głowami jak zwiędły papyrus,
przyszłe wieki w nich skryte.

Ty, coś w górę wyrósł
i znasz wymowę duchów, poznasz je po krokach.
Idzie o zmierzchu pani sowiooka,
mrok sandałem roztrąca, ciężko żniwo kiru
światłem rozcina i na drżących ustach
opiera dłoń, palącą ogniem pieczęć bóstwa.

Słuchałem nocnych głosów. Wiatr mi włosy targał,
drżały żelazne struny ciężkim lirom.
W gorączce uniesienia, w namiętnych przetargach
to samo przeznaczenie i ukryty wyrok
był mi.

Wszystko przyjęła zaciśnięta warga,
kiedy przez nieba mierzchnącego drżenie,
patrzyły we mnie oczy głuchonieme.

Są wichry niespokojne i do lotu chciwe,
jest sztandar niecierpliwy, by zawisł na maszcie,
fale szumią na skałach.

Ale mi pokażcie
nieustraszoną rękę, co burzę za grzywę
uchwyci i wypełni burty bujnym żniwem,
sterniczka losów. Nadaremnie w twarz cię
biły słone podmuchy i na brzegu pustym
do morskich wełn krzyczałeś płonącymi usty.

Terminator marzenia, hodowca uniesień,
dusz poławiacz, zbyt miałkich, by dały się złowić.
Zmącony przypływ mułem brzeg zaniesie
i będziesz jechał tylko księżycowi
przez miasta snem zatrute.

Dawno przyszła jesień,
nażarty robak w owocu się mrowi,
a nie masz ogrodnika, co by w kosze zebrał
urodzaj złota, purpury i srebra.

Zabrakło ludzi żywych. Są już tylko duchy.

Ich śpiew jak łódka kołysząca w ciemność.
W znojnym oddechu gniewnej zawieruchy
dłonie wieńcem wyrocznym związują nade mną,
w tętencie helikonów podziemnym i głuchym
objawiają rai prawdy, głoszone daremno,
i tak się stara walka, gdy w ziemskiej potrzebie widać
wojowników, rozstrzyga na niebie.

II.

Wiatr, wiatr zatyka usta rzewnym fletom,
wiatr, wiatr rozwiewa grzywy płowym lwom.
Który ogniem i orłem krążysz nad poetą,
na chmury unieś skołatany dom!
Gdy. czerń wzburzona wokół i noc nieprzejezdna,
ześlij Twych archaniołów w złocistym kirysie,
ukaż nam w jasnych gromach pałającą twarz...
Który jesteś, który mścisz się,
zdradzony przez nas,
Panie Boże nasz!

Usta płomieniem błękitnym ujarzmij, przepal
na czarny węgiel i serce ogarnij, porwij
zawieją, proste drogi wskaż mi, skrzydłem
szumiącym rannego żurawia otrzyj nam czoła
ze śniedzi i win.

Oto Cię wołam, oto Cię pozdrawiam,
cierpiącej ziemi nieodrodny syn.

Lęk mnie nawiedził i oczy me rozciął,
z doczesnych bogactw stokrotną wziął grzywnę.
I oto stoję, rozwarty jak kościół,
nim piorunami wypełni go niebo,
i sny mi śnią się szalone i dziwne
w oczekiwaniu przed walną potrzebą.

Najpierw był zmierzch. W półcieniu oddycha się milej
i żwawej w sprawnych dłoniach wykańcza się praca.
Nurzając rogi w rozzłoconym pyle,
stado wołów powolnych do obór powraca.
Gdy usta śpiewakowi napęczniały wierszem,
żołnierze wsparli miecze na zwycięskich mieczach,
dęby szumią opodal.

To widzenie pierwsze,
które światu mrocznemu zaprzecza.
Nadchodzi burza w przerywanych nutach,

rżą, wspinają się konie nad kamiennym mostem.
Stopa w sandał spiżowy najszczelniej obuta
powoli kroczy za skrzypiącym pługiem.
Spojrzenia szczere, słowa bardzo proste
i nocny spokój.

To widzenie drugie.

Kamienie tablic potrzaskane w gromach.
Przez szczerby w hełmie mętny nurt przecieka.
Każda zdobycz to zbrodni kolejnej oskoma,
popiół w winnicach i trupy na rzekach;
płomień podziemnym szamoce się kuźniom,
wydarł się, zgasł na wietrze.

I nie ma już widzeń.
Tylko śpiew jako owoc dojrzały zbyt późno
na mych ust przepalonej łodydze.

III.

Biegli w noc i świt,
żeby konie nie padły, odpoczywając tylko tyle.
Noce krążyły nad nimi, złotem gwiazd cętkowane motyle.
Szumiały skrzydła nadciągających bitw.
Kiedy kopyta ślizgały się na rosach i szarańczach,
księżyc przeglądał się w kolczastych zbrojach.
Coraz ciaśniej ich obstępowała
ojczyzna wasza i moja,
spalona słońcem, ukrainna La Mancza.

To mieli sobie za najlepszą wróżbę,
że ich było tak mało.
Zatrzymywali się krótko nad każdą przeprawą i brodem.
Zwalniano koniom popręgi,
szły same, prychając, nad wodę.

Najsmutniejszy z podróżnych wydobywał
wielostrunny instrument,
dłonią łagodną czarodziejskie drewno głaskał
i w milczeniu gwiazd,
w stepowego ogniska pełgających blaskach
płynęły słowa, które umiesz na pamięć.

Wówczas na dźwięki pieśni, co nie kłamie,
centaury śpiące w stepie
wspierały się na przednich kopytach,
cwałowały wolno ku ognisku, myśląc, że już świta,

obstępowały podróżnych urzeczonym tłumem.

A pieśń unosiła się wyżej,
zanosiła się jak wiejska harmonia,
od słowików pożyczała nuty, uderzała w spiże,
albo srebrzystym łkała fletem
i ,nie wiedziała, że w czeremchowym wąwozie
leży z głową opartą na dłoniach
zasłuchana matka Demeter.

Gaszono ognie.
Dyszlem na dół wywracał się Wielki Wóz.
Wiało świeżością i chłodem.
Niebo oblewał roztopiony jantar.
Siodłano konie i śladami Rosynanta,
co galopował pierwszy, cały orszak się niósł
ku wschodowi. Centaury odprowadzały,
zwolna zostając w tyle.
Step wybuchał przed nimi drogowskazami topól.
I wiatr, jak włosy umarłe, szarpał pożółkłe badyle
na szańcach przedwiecznego okopu.

Cervantesie, Cervantesie Saavedra!
Dokąd prowadzisz swój hufiec,
Rycerzu Smutnego Oblicza?!
Przehuczały już gromy w zburzonych katedrach,
opuścili nas ludzie, twardy zapadł wyrok,
okrutny i bezlitosny jest stepowy zwyczaj,
dymnym ogniem otoczy, ostrym nożem błyśnie zza pazuchy,
dopadnie cię jeździec nogajski,
kolana arkanem podetnie.
Jeszcze rozwleką sępy na kurhanach głuchych
twoich kości pobielałe fletnie.

Gromada mężnych nie ustawała. Aż ogromny krzyk
uderzył w niebo. Szum spieniony ogarnął.
Oto stali nad wodą, w owej porze wezbraną i czarną,
i rozplątując rzemień uździenic, zaciśnięty o przegub,
gdy konie siadają na zadach
i cichną osie zatrzymanym wozom,
ujrzeli migające światłami
na dnieprowym, przeciwległym brzegu
upragnione, mistyczne Tobozo.

IV.

Choć warga swoją klęskę i samotność wyzna,
jeszcze się nie poddała bezsilności płaczem.
W nieczłowieczych rejestrach, w nadziemskich ojczyznach

ta walka się rozstrzyga inaczej.

Ścichną ostatnie działa rozbitym redutom,
lecz broni się nad światem uniesiony szaniec,
nieprzejednaną odkrzykując nutą,
że klęska nasza minie, a walka zostanie!

Gdy każdy szarpie ręce i woła: P r o r o k u j! —
gdy szczęście nam zatruto, a siły nie dano,
jakże teraz zbłąkanym, żałosnym Kordianom
wyrzucić z serc zalęknionych jaskółczy niepokój?

W dróg pylnych labiryncie była nam Ariadną
ślepa dziewka o szatach łamanych w marmurze,
szliśmy wichrem smagani, obsypani kurzem,
umykającym chwilom rozkoszy nie kradnąc.

Aż dzisiaj, powaleni na późnym noclegu,
obliczamy 'zwycięstwa i klęski i blizny,
i ślad nasz na niezmiernych przestrzeniach ojczyzny
jest jako trop zajęczy na porannym śniegu.

Bo żar, który nam usta i oczy zagarniał,
zanim drogę rozjaśnił, sam w sobie się spalił;
zostaliśmy na zimnej, chybotliwej fali
w czarnej łodzi przy pustych, rozbitych latarniach.

W gorączce poszukiwań, nieprzytomnie krzycząc,
przemijaliśmy w grozie ginących hierarchii
i zdobycz nam uciekła przez palce, a szparki
świt suche usta zwilżył octem i goryczą...

Wicher ogromnym skrzydłem potargane czuby
szumiących w mroku sosen przykrył i nastroszył
i młodość jest jak krzyk rozpaczy i rozkoszy,
darmo przepływająca, bez żadnej rachuby.

Rękom naszym struchlałym, wargom naszym niemym
niedostępna dziś walka i obcy heroizm;
smagani ostrym zimnem, na miejscu drepczemy
jak dziecko, co za siebie obejrzeć się boi.

A umieliśmy przecież spoglądać bez żalu na
wioski mijające, całe w słońca złocie —
i objawiały nam się w znojnych dni spiekocie
wizje godne granitu i godne metalu.

I choć w porażkach licznych i niechybnych błędach
plątały nam się stopy, nocną rosą śliskie,
nieraz w mosiężnym kurzu i wśród złotych iskier
groźną twarzą błyskała wielkich dni legenda.

Dzisiaj, gdy z rąk niechętnych zbyteczne oręże

niesławnie odstąpiono pachołkom i ciurom,
milczymy — myśl znużona wichrów nie dosięże,
jest chmura mad głowami i grom ponad chmurą.

Do szczętu przepalonych niespełnionym mitem
nurt unosi w nieznane, kołyszący srodze,
i w mroku nam majaczą w błyskawic pożodze
lądy nieosiągnięte, lądy niezdobyte.

Od dni, najsłodszy z których znieważa i boli,
od godzin wężów i sekund jaszczurek
bez smutku i bojaźni wejdź w tę ciemną chmurę,
co otoczyła zewsząd ciche Nekropolia;
tam ziemia, przepalona w straszliwej malignie,
jeszcze wspomina czyny, których już nie zatrę,
i wmurowana w górze nad pustym teatrem
kamienna twarz człowieka beznamiętnie stygnie.

Pójdziemy tą aleją, gdzie sfinksów szeregi
martwy wzrok odwracają na skrzyp ludzkich ciżem,
a fiołkowa fala ciężkie stopy liże
stopy tych, co wynieśli Asyrię i Egipt;
mogilny świerszcz zanuci, skoro przyjdzie pora
zajrzeć w przegniłe truchły, cmentarz się obudzi
i przeminione smutki zapomnianych ludzi
zaszumią jako wino w pękniętych amforach.

Nad nami wielki oddech gwiezdne niebo smaga;
w skłębionym tłumie zamęt, w sercach interregnum,
płoną nieszczęsne miasta i kobiety biegną
z dobytkiem...

Ale tutaj w mrocznych sarkofagach,

słodki oddech wieczności, zetlały pergamin,
pomieszany z popiołem i kośćmi i łzami,
i znaki nieczytelne na szczątkach żałosnych
są jak roje robactwa i zapach pachnideł
zwiastuje nową. drogę, którą z tobą idę
w objęcia tysiącwiecznej, utraconej wiosny.

Powietrze wyściełane smolnym tchem modrzewia
smagłe i ciepłe ręce wyciąga ku ustom.
Musisz mu bić pokłony i wierzyć jak w bóstwo.
A wichr podziemny, co przed laty przewiał,
powraca i ku naszym pochylonym czołom
opada, ciężkim włosem potężnie szamoce
i przysypane pyłem historyczne noce
zamykają nad nami swe magiczne koło.

I anioł mroku skrzydłem nas swoim ogarnia,
wspólnie ku nowym wiodąc głębokościom.
Ani bezwstydnym krzykiem, ni daremną złością
nikt ciszy nie zamącą, jeno przy latarniach

schylamy się rytmicznie w migotliwym złocie
drżących świateł, by chwilę palcami pogrzebać
w prochu czyjegoś smutku i czyjegoś nieba —
i znów w milczeniu stanąć przy nowej gablocie.

Oto sandałki drobne, w których stopa bosa
już nie zamieszka, dzbany puste i wyschnięte;
muszle, morskiego szumu pozbyte ze szczętem,
grzebienie z drewna, co w jedwabnych włosach
nurzały się z rozkoszą; posążki z agatu,
czarnym okiem patrzące w twarz tamtemu światu,
biedne, uschnięte chleby z jęczmienia i prosa.

Lusterka z miedzi, pilnie gładzone lusterka,
zausznice misterne, złocone manele...
Na jakichże miłośnie, czy niewolnic ciele
dźwięczałyście ? Dziś wróbel w górze się rozćwierkał,
leniwy kot o ścianę ociera się grzbietem,
północne niebo słońcem i błękitem broczy,
przy nas jest świat żyjący.

I spoglądam w oczy

piękniejsze, niźli uśmiech królowej Nefretet.
Ku rzekom rozśpiewanym od leszczyn i ptaków,
ku tonom ulinionej z wierzbiny fujarki,
ku chłopcom niknącym drogą w dzień letni i żarki,
z nekropolisów mrocznych i katakumb
na świat, obramowany jedwabiem twych rzęs,
zwierzętom dopomagać i ukochać drzewa,
i gwiazdy wieczorami przez palce przesiewać,
do nowych walk gotowi.

I zwycięstw. I klęsk.

I.

Powraca wiosna, ta sama, ta sama,
toczą się ciemne wody, blask oczy omija.
Co wieczór zmierzch nadchodzi, szorstką twarz wygładza.
Pnie się chmiel i fasola po wysokich kijach.
I smutek, zgon którego tyłeś razy skłamał,
bezsilność zawiedzionych, milczenie i noc.

Powiedzcie zatrzymanym przy wieczornych bramach
i tym, co oddychają w zamglonych ogródkach,
i tym, co wyczekują...
Na zboczach dogasa
ognisty krzew żarnowca. Na sosnowych lasach
mleczne mgły. Śpiew doleciał. I w spieczone gardła leje
się z szkieł zatrutych dobroczynna wódka,
kołysze senne głowy.
Ziemia już umarła.

W tym mieście, pośród huku niespokojnych młotów,
zgrzytu stali i gwizdu pary buntowniczej,
którego tętna lekarz nie obliczy,
w mieście żmudnego trudu i cierpkiej rozpaczy
chodziliśmy nocami, a wicher zatoki
gorącym tchem podrywał nasze słabe kroki
i śpiewał uwodząco i zaglądał w twarz.

Modliliśmy się:
„Wichrze, Panie Boże nasz!” —
i ze szczytu pagóra oczy nasze biegły
ponad miasto zlepione z kamienia i cegły,
nad chaty zbite z desek, pełne dziur i łat;
na płowy piach wybrzeża wełna szła za wełną,
wtedyśmy piękność przeczuli zupełną
i świat nieogarniony, nieodkryty świat.

Pienią się oceany żaglami szkunerów i brygów,
otwierają się lądy na przyjęcie przygód,
pachną smolone sznury, palce zlepił pot.
Każdy wicher swojaków w nas pozna,
każda fala do nas się przyzna
i odpływa już, znika uboga ojczyzna,
pozostaje z troskami swoimi wśród szarug i słot.

Oddalajcie się rzeczy i ludzie i drzewa,
codzienna pobudka i gromki łopot flag.

W nędzy i próżnym trudzie nie chcemy dojrzewać,
ani czynom nikczemnym przyświadczać.
Nas młodych i zgorzkniałych, a spragnionych lotu
na pokuszenie wiodła ręka świętokradcza,
wdrażając w posłuszeństwo niewolniczym taczkom.

Odmawiamy! Podnosimy rebelię!
Ty nas poratuj! Ty nas do życia przygotuj,
białoskrzydła,
morska pławaczko!

II.

Zachodzi słońce. Blask źrenice mruży.
Biegną gromady uczniów ku wymownym mistrzom.
Niesytym szczęściem, tęskniącym do burzy
za nic zielone pnącze na drewnianych gankach,
za nic cisza wieczorna.

Jasne skrzydła błyszczą,
przebija chmury z pochew wysunięty miecz.
Tak to, co wpierw się niosło wśród idących drużyn,
traci oddech, przepada i cofa się wstecz.

Noc, powiernica szaleństw, najczulsza macocha
synów osieroconych przez świat.
Szumią drzewa nadbrzeżne. A ja, który kocham.
ciszę zamglonych sadów i nocne przypływy,
patrzę na pustkę mijających lat,
na piasek szeleszczący w rozbitych naczyniach.

W zawoju mroku śpi ucieczka żywych,
kamienne miasto,
nadbałtycka Gdynia.

Nad szklanką, płynem gryzącym zatrutą,
chylą, się ciężkie głowy spiskowców marzenia.
Na południowe morza unosi nas prąd.
Szeptem świat poznajemy. Tak snycerskie dłuto
powoli czuły zarys wyprowadza z cienia
i ustom grymas niechęci narzuca.

Zrywamy się. Biegniemy. Już spragnione płuca
poczuły świeży powiew. Drgnęła czujna łódź.
Miasto zostaje w tyle, wykręca na lewo,
rzucamy krzyk ostatni domom, górom, drzewom,
wstajemy — wicher za bary nas chwyta.

A wtedy wśród tej nocy gwizd stali, huk młotów
ściga żeglarzy sygnałem powrotu
i światło biegnie w ślad naszego steru;
podnosi się, wygraża mroczny kraj ubogi,
a domy, drzewa zawracają z drogi
i salutują nas jak dezerterów.

Powracają do remiz ostatnie tramwaje
i cichną głośne echa zapóźnionych kroków.
Nocny wiatr. Drzewo drzewu jego szum podaje, cierpka
wilgoć jesieni objawia się w mroku,
opadają bezsilnie zmięte trupy liści,
gromem nieopłakane, niezdarte przez burze,
i miastem głos się budzi, co dawno nas urzekł : śpiewem
chmurnej miłości albo nienawiści.

Tak lepiej, gdy się tłumy do domów rozpierzchną
i kamienie odpoczną westchnieniem pogardy.
Pod tą brunatną łuną, w wielkomiejskim zmierzchu,
na wietrze października i pod niebem twardym,
gdzie jeśli jakie głosy, to w pieśni hulaszczej,
gdzie patrzą, martwe gwiazdy na daremne prace
i lwice, wartujące przed głuchym pałacem,
w posępnym zniechęceniu zamknęły swe paszcze.

Tu się w żmudnych godzinach twoje losy przędły
i drogę twej udręki mroczny czas wytyczał.
Strachem niepokonany, niezgięty przez zwyczaj,
patrzyłeś długo w oczy zmartwiałej legendy.
Nie drgnąłeś. Przysięgałeś, że wiary dotrzymasz.
A ona cię żegnała zimnymi oczyma,
kiedyś wyruszał, wichru spragniony przed bojem.
Teraz, gdy wszystko obce i wszystko nie twoje,
gdy noc zatruta mgłami nad miastem się kładzie,
cóż wywiedziesz i zamkniesz :w twoich słowach głuchych?

Stygnie mrok nad głowami i coraz to rzadziej
zapalają się światła samotne wybuchy.

To nie kobieca rozpacz, to nie serca czułe,
co, walczyć nie umiejąc, spłonęły na żużel. Jeszcze
nam w głuchej ciszy huczą owe burze, przeszłość
się podmogilnym przypomina mułem,
a każdy kamień żyje, każdy proch oddycha...

Lecz wówczas, gdy młodzieńcza poniosła nas pycha,
któż z nas wiedział, że mroczne otoczy nas bagno,
wessie i wciągnie w bezdnię, w niezgłębione leje,
a gdy stopy do walki wyruszyć zapragną,
pustka zewsząd nadciągnie i świat się rozchwieje.

Wam, ojcowie umarli, którzyście nie znali
czym jest nędza młodości w bezsile zamkniętej,

którzyście zawsze mogli błyskiem jasnej stali
odpowiedzieć na strutej poezji lamenty
i ginąć i wyzywać wszystkie cytadele
dla kuł podłego wroga; wam, szczęśliwsi od nas,
cóż powiedzieć, gdy jesień, w mgłach się rozpływając,
o zmierzchu przedwieczornym odchodzi, pogodna,
gdzie indziej błogosławić nietutejszym krajom?

W dobie kupców, szalbierzy, tchórzów i żołdaków,
fałszerzy słów dzwoniących i nikczemnych czynów,
gdy żaden dzień nie szczędzi złowróżebnych znaków,
dokąd iść, gdzie dorabiać się wieńca z wawrzynu
na skronie zniechęcone?

Pustka się rozwarła,
przerażeniem śmiertelnym napływa do gardła,
obsiadła wszystkie drogi, zaludniła miasta.
I w tej pustce pieśń nasza nad mrokiem wyrasta,
niesłuchana, żałobna, widnieje z daleka
jak dłoń zasypanego w zawiei człowieka.

Co wyrosło przed laty w dziecinnym zamyśle,
zginęło zaplątane i zaszczute w gęstwie.
Chmury ponad domami szybują zwycięskie,
schodzimy w lamp migocie ku zamglonej Wiśle;
łuszczy się rzeczna fala, skłębiona i smętna,
liże głazy wybrzeża, wartkim nurtem płynie...

Biją pod senną ziemią niespokojne tętna,
mgły północnej jesieni kłębią się w kotlinie,
widzimy:
mroczny jeździec pośród nocy stąpa,
koń zziajany i czarny mętną wodę pije,
ptactwo się budzi, trwożne wyciągając szyje,
ludzkie tupoty słychać, a ziemia nieskąpa
na krew, nasienia czeka.

Tak północ się karmi
przeczuciem nadchodzących pochodów i armii.

Wtedy wszyscy pójdziemy. Głośna pieśń pobudki.
Ręce błogosławiące. Ciche łzy matczyne.
Kwiaty na karabinach. W ustach gorycz wódki. Huczy
krok wyrównany. Zwyciężę lub zginę!
A gdy kule pokłują zagony jak ospa,
gdy ponad tyralierą pierwsze białe dymy,
rozwieje się bez śladu nasz smutek i rozpacz.
Tu trzeba tylko umrzeć. A to potrafimy.

Nim w mroku się wypełnią słowa przepowiedni
i ziemia się odrodzi w krwawej zawierusze,
zdeptany burą łuną ginie dzień powszedni,
łamią się ludzkie serca i truchleją dusze;
dźwięczą srebrniki brudne; nikczemnym sztandarom
próżno skrzydła przyprawiasz, fanatyczna wiaro!
I echo bezsilności drży w powrotnych krokach
w życie, nieprzepalone sumieniem ni wstydem,
i nad trumnami domów budzi się epoka
posępna jak ulica, którą wolno idę...

A kołysz-że się kołysz, kolebeczko lipowa,
leż syneczku cichuteńko jak ta trusia...
Twój ojciec nie powraca, gdzieś na polach, w dąbrowach
ciężko pospać się musiał.

Przed słońcem się zasiania, patrzy gospodyni,
siwe oczy wypłakuje matka stara.
Jedni snem nieprzespanym polegli, a inni
na dalekich Madziarach.

Zaglądają malwy w okienko,
niska mgła nad łąkami się ściele —
dzwoń w ostrogi, przytupuj, jakeś ułan!
Szła śmierć dołem, wądołem, przykucnęła w popiele,
gdy rannego żołnierza poczuła.

A i cóż to się ludziom wydaje,
że nie pierwszy z ciebie w całej wiosce tancerz?
Niechże wyjdą przed progi sąsiedzkim zwyczajem,
gdy powracasz na żałobnej furmance.

Kiedyś szedł do poboru, było prościej —
zwykły chłop, to i głupi!
Gospodarzy nie stało, gdy nadciągnęli goście,
a tyś jeden własną krwią się upił.

Teraz sobie podumaj, leżący na miedzy,
na co chłopska zdała się krzepa.
Wystrugali ci krzyżyk milczący koledzy
i odeszli i ślad po nich przepadł.

Śnieżne wiatry przelatują przez to martwe pole,
stara wierzba się chyli...
Oj, przepili panowie twoją chłopską dolę,
jeszcze raz ją po karczmach przepili.

I pieśni nad twym grobem jak krzyk świętokradczy,
choćby najbardziej szczere.
Jedno to;
przed swoimi i wśród obcych zaświadczyć
jakoś dobrym był grenadierem.

I mroczny cień się kładzie na ostatnich słowach,
wargi bezdźwięcznie coś plotą...
A kołysz-że się kołysz, kolebeczko lipowa,
śpij cichutko, żołnierski sieroto!

Błotne ptactwo z lamentem szybuje nad rzeką,
wieczór się zbliża jak spokojne święto.
Chwieją się biodra chorwackim dziewczętom,
gdy w koszach niosą ciężkie żniwo ziemi.
Październikowy szumi w drzewach wiatr,
obsypuje liśćmi zżółkłymi,
nieogarniona to i smutna żałość.

- Wróć, ucałuj,
jak za dawnych lat
bywało…

A na tamtym brzegu siwy koń
cicho rży, dym się snuje, mglisty dym pastuszy,
słono piecze w źrenicach i bezmyślna dłoń
źdźbło jesiennej byliny kruszy.
Oto mnie gniewny wyrok twardą ręką ujął,
ogniem poraził i wywlókł z szeregu...
I głuche głosy spoza rzeki nawołują,
jakby naprawdę już
z tamtego brzegu.

Szumi nurtem wezbranym dziedzina ugorska,
dzienne sprawy cieniom opowiada —
po snopach kukurydzy, po drzewach, po winogradach
znów przechodzi ręka wiatru szorstka.
Ach, przewieją na tym wietrze moje lata,
moje dni odchodzące przewieją,
w obcych krajach, nieprzyjaznych światach
z pól rodzinnych nieopatrzny zbieg...

Szumią zwiędłe liście, szumią naszym dziejom
nad brzegami mętnych nieobeszłych rzek.

Rosną cienie i późna godzina
strząsa popiół z rozwianych piór,
mrok na oczach i mgła na dolinach
i powodzią widziadeł okrąża mnie nurt,
jakby śpiew kołyszący niósł się razem z nim
nocną troską, cierpkim niepokojem...

Siwy koń bystrą wodę pije,
siwy dym,
siwe, siwe oczy twoje...

Przewalił się nad nami straszliwy kołowrót
ludzi, czynów i zdarzeń, klęski i poświęceń.
Otośmy wyszli żywi.

Daleki nasz powrót
skronie niepocieszone pochyla na ręce,
daremnie martwe oczy chcą miotać pociski,
mowa nasza bezsilna i chód ołowiany
i we mgłach zagubiony listopad paryski
miota nami, jak liśćmi, nad brzegiem Sekwany.

I, uszy mając pełne potępieńczych swarów,
idziemy do kamiennej kolumny Adama.
Znów jak jemu zaświecił nam płomień pożaru,
droga nasza nie inna i rozpacz ta sama;
mądrość minionej kieski gryźć nas nie przestaje,
błędy tak dobrze znane i słowa nie pierwsze
i gniew ponad zdeptanym, wykrwawionym krajem
zamiast gromem uderzyć, przelewa się w wiersze.

Nad ruiną miast naszych, nad wsi popieliskiem
jesienne niebo nikłym blaskiem świeci.
Cicha męka bezbronnych, płacz zgłodniałych dzieci,
wszystko to, co mam było najdroższe i bliskie,
wszystko to, co po nocach sen odbiera z powiek
i usta, otworzone do krzyku, oniemia...
Słyszycie — jak w ochrypłej, rozpaczliwej mowie
woła pomocy opuszczona ziemia.

Nigdzie nam się nie ukryć przed straszliwym głosem
nieprzekupnego sumienia i męki.
Dni nad nami jak płaczki idą siwowłose,
parzy nas zimny uścisk napotkanej ręki,
w stolicach świata plączą się drogi i mylą —
jałowy świat, nie dla nas przychylny i żyzny —
i rzeka emigracji jest nam, jak Babilon,
unoszący popioły straconej ojczyzny.

Rozwiewa wiatr na placu ciężki płaszcz wędrowny
i gotyckim chimerom policzki wydyma.
Gwiazdy ponad Paryżem jak iskry od głowni,
o zmierzchu szron pod stopą zaskrzypiał — to zima,
Lecz wicher nie ustaje i kiedy wysokie
gzymsy domów i katedr mrok wieczorny starł już,
podrywa się i huczy, zagląda do okien,
on — wspólnik groźnych myśli, nocny emisariusz.

Tam za nim iść... gdzie droga pod stopy się ściele
dolinami i górą, ścieżką i przełęczą.
Jeszcze zanurzyć dłonie w gorącym popiele,
do tych, którzy nie uszli, do tych, co się dręczą,
odetchnąć ich rozpaczą, ich buntem i trwogą,
wciągnąć w szerokie piersi dym pobojowiska,
policzyć wszystkie krzywdy i śmiertelnym wrogom
raz jeszcze spojrzeć w oczy, ale spojrzeć z bliska!

I przed zmęczonym wzrokiem wstają polne drzewa,
jaskółki wirujące, letnie zmierzchy sine,
świeży dech lekko włosy zwichrzone rozwiewa,
pole podpływa żytem i złotym łubinem,
a wiatr cię niesie dalej w liści zawieruchę,
siwe gałązki wierzby ku ramionom zniża...
I znowu nasze kroki, kroki nasze głuche,
zbyt głośne w nocnej ciszy na bruku Paryża.

Wichr płomieniem uderzył i gromem przewiało,
jasność krążyła w kołach i elipsach.
Nad konające światy, nad skłębiony chaos
w rżeniu zdobionych koni szła Apokalipsa,
niosła się burza lamentem stugłosym,
ręce nam opadały pod śmiertelnym żniwem.
Teraz stoimy, ku struchlałym włosom
prószy popiół znad ojczystej Niniwe.

Kroku nie wstrzymuj, samotny człowieku,
nowin nie szukaj w bladych naszych twarzach.
W doczesnych dziejach, w ciężkiej księdze wieków
tylko nam się ta sama gorączka powtarza,
każdy z nas od dzieciństwa szminkowany Hamlet,
zwyrodniały następca możnych bardzo duchów.
Nie śpiewa nasza warga, ale skamle,
jak brytan na więziennym rwący się łańcuchu.

O, jawory, w młodziutkiej zieleni i mgłach!
Obłoki, co płyniecie w nieznaną urodę!
Pod stopą skrzypi nadsekwański piach,
mijamy obcych ludzi, schodzimy nad wodę;
czasem list zleci z kraju, mroczny ptak żałości,
zgadujemy swe losy w kołujących falach,
i kto inny nam drogi zawikła, lub uprości,
nie naszą ręką gromiąc królestwo Baala.

Lecz gdy wzrok się uniesie znad stygnących wierszy
i dłoń w spokoju podłym nie chce zostać dłużej,
nadchodzisz —
cały w skrzydłach, nasz człowiek najpierwszy! —
jak hymn rozkwitający w tętenty i burze,
fałdy togi wędrownej na skronie narzucasz,
wieścisz zwycięstwo, dżdżu łaknąca kania,
i oto wichrem wypełnia nam płuca
krzyk uniesienia i śpiew zmartwychwstania.

Jak niegdyś, gdy wróżących w niewoli i mroku,
zagubionych wpółsennie w dnia powszednich rytmach,
nawiedziłeś,
w conocny wtrącając niepokój,
w słowo celne jak nabój, w poemat jak bitwa,
tak nas i dzisiaj mocną dłonią dźwigniesz.

I Nike twoja w gniewnej rwąca się malignie
kamiennym mieczem przyszłych dróg
nie skłamie.

Tak Bóg,
kiedy żywioły jeszcze dyszą w walce,
gdy krucha glina w rękach mu się łamie,
ust martwych dotknął palcem:
— Wstań, Adamie!

Ziemio, ojczyzno nasza, święć się imię twoje!

Senna fala uderza o piaszczysty brzeg,
Chwieje się bór sosnowy, zdjęty niepokojem,
i nad rozlewem siwych rzek
księżyc w głębi zielonej srebrną płetwą pluszcze.
Przechodzi wiew potężny przez twe mroczne puszcze,
ciągnie dymem dalekim z kuźni i smolarni
i grzywy źrebcom przepoconym głaszcze.

Nawiedź nas tchem wiosennym i ogarnij
graniem ptactwa, urokiem najpierwszych przylaszczek.
Niech ujrzymy jak siano srebrzy się na widłach,
jak tną powietrze jaskółek twych skrzydła
i żeńcy utrudzeni w czas znojnego żniwa
pochylają się ku ciężkim snopom.

Ziemio w zboże zasobna, płynna żywicą i ropą,
rozrzucona w miasteczkach ubogich
i opłotkach pracowitych siół,
przyjmujesz krew twoich synów, zabliźniasz rany
i ku wczorajszym okopom
niesiesz się znowu brzękiem pszczół.

Niech będą pochwalone wśród swoich i obcych
melodie tańca twojego i śpiewu.
Pochwaleni zadzierzyści parobcy,
szeroki uśmiech twoich krzepkich dziewuch;
mały chłopiec, o zmierzchu ukryty w mokrych wykach,
gdy kradnie smaczne ziele, by głodnego nakarmić królika,
więc śpieszy się, a serce w przestrachu mu bije
i nogi same zrywają się w bieg –
i wszystkie lasy, pola, łąki, nie cudze, nie niczyje,
jeno nasze,
jak przedtem, jak zawsze,
po wieków wiek!

II.

Gdy stopy polskie idą krajem,
niech będzie pochwalony ślad niestarty nóg tych.
Gdy usta polskie się otwierają,
niech będzie pochwalany ich krzyk i każdy dech.
Pochwalone niech będą sine leśne dukty,
bocianie gniazda nad ubóstwem strzech,
co jak czapy na bakier nasadzone się krzywią.
I każdy leśny, polny, wodny żywioł

i starców twoich sen
I małych dzieci śmiech.

Oto idzie na ciebie przedwiośnie,
oto na polach zboża zielenią się jare.
Z daleka nad wojenną wrzawą, nad pożarem
wołamy cię z dniem każdym tęskliwiej i głośniej
i w niespokojny pieśni naszych rytm
wdziera się srebrny
na łąkach krasnystawskich rozwleczony świt,
kazimierzowskie spichrze stare,
białe wiśnie schylone nad urwistym jarem,
dojrzałych owsów brzęk i zapach żyt.

Więc okna otwieramy w mglistą noc paryską,
widzimy jak do ciebie stąd mamy nieblisko
i łokcie opierając na parapecie,
modlimy się tej nocnej, gorzkiej chwili,
jakeśmy się jeszcze nigdy nie modlili
słowami skradzionymi poecie.

Ziemio, ojczyzno nasza, ty jesteś jak zdrowie!
Nie pozwól nam zbyt długo w rozpaczy jałowieć,
ni goryczą klęski obrastać.
Jako w tobie tylko nasza pieśń, siła i władza,
tak nas co rychlej z powrotem sprowadzaj
z zimnych murów zbyt obcego miasta.

Żeby znowu na jawie, a nie w snach tylko
twoja mętna, spieniona, żółta Wisła
i porwała na swoją toń,
żeby nas na łódce ma środek uniosła
i żebyśmy widzieli, chwytając za wiosła,
jak brzegiem biegnie dziewczyna
unosząca pożegnalną dłoń.

Żeby znów w Zielone święto na białych Bielanach
z harmonii i z mandolin pieśń dzwoniła od rana
nie inna, ale właśnie taka,
i niech noc mazowiecka, podwarszawska zaśpiewa
o tym, jak liśćmi wspierają się drzewa
na czerniakowskich drewniakach.

Żebyśmy — tak nam, Panie Boże dopomóż! —
wieczorami nie szli do knajpy,
lecz wracali do cichego domu,

a na stole czekał na nas kubek mleka i chleba glon.
A po wypłacie jedwab gładki i cienki
kupowali na wdzięczne wiosenne sukienki
dla najsmuklejszych naszych żon.

III.

Tak wołamy do ciebie, tęskni i dalecy,
tyle tylko wiedzący, cośmy utracili.
Wiatr ostry wieje i popycha w plecy,
parzy nam blade usta nieprzytomny śpiew
i krok niepewny się myli.

Ale ty trwasz i jesteś i w żyłach twoich drzew,
w mrocznych korzeniach roślin,
w podziemnych pędach, kłączach
przebiega prąd tajemny, siła życia rącza,
ta sama moc,
co krzepnie w zawziętych chłopskich twarzach,
co drzemie w karabinach zakopanych w lesie,
moc, która z ciebie żyje, w tobie się powtarza
i hardych wrogów rzuca na kolana.

Błogosławiąca buntom niepokornych plemion,
niepokonana,
ojczyzno wolnych,
ziemio!

Mroki wyhodowane na szczytach spalonych gór,
przesiąknięte znojnym zapachem saletry i siarki,
chcą zanurzyć swe stopy w strumieniach z chłodnego srebra
i paść się na łąkach
utkanych z mgieł i wilgoci.

Mroki piaszczystych pustyń, gdzie Bóg nasz, Słońce,
zamiast wypełniać płuca miodem swego oddechu,
przepala żyły i ścięgna, że stają się jak rzemienie;
mroki uroczysk, gdzie Księżyc, dobry nasz Pasterz,
ukazuje twarz, nalaną gniewem i okrucieństwem,
a nawet Gwiazdy, co u !nas brzęczą jak pszczoły,
są rojem os jadowitych,
szukających, by ukłuć wprost w serce.

To nie jest burza, co nas opada przerażeniem
i pozostawia na brzegu dojrzalszych i silniejszych,
ani nieszczęście, rozmiatające kruchą glinę,
a skalnym blokom kujące twardy i męski profil.
To nie jest burza. Wichrom i gromom naprzeciw
samotny człowiek wychodzi
serce hartując w piorunach, i szare nici deszczu
nakłada na kołowrotek, by utkać ornat dla Bóstwa,
lub splata w krzepka cięciwę,
co się nie zerwie.

Ale przeciw pladze ciemności, co gasi ogniska,
przeciw mgle,
co swoim oddechem zatruwa źródła w ogrodach,
przeciw pladze szarańczy i szczurów, roznoszących zarazę,
nie wystarcza odwaga i ręce przywykłe do miecza.
To dlatego silni parobcy, co wyleli tyle krwi,
gdy chcieli wracać do domostw, nie mogli odnaleźć drogi.
To dlatego panny, oczekujące ich na skraju osiedla,
otwierają z ochotą swe biodra
mrocznym przybłędom.

I złe łopiany zaczynają porastać place miast,
które niedawno kołysały radość i szczęście ludów,
a na mostach,
co przedtem były jak uścisk przyjaznych brzegów,
nienawiść pobiera opłatę z każdego przechodnia.

Ale rasa, która umiała spienionym mustangom rzek
zakładać twarde munsztuki i górskie przełęcze siodłać;
która smakowała krzemienne głazy,
rozgryzając je na proch,

i barbarzyńskie swe pieśni syciła tęsknotą;

która nad kołyskami śpiewała o sprawiedliwych bóstwach,
która nie chciała słyszeć o śmierci,
jeśli ta miała być kresem, a nie początkiem;
rasa ludzi o goleniach ze spiżu,
ujarzmicielka żywiołów i poławiaczka konstelacji,
jeszcze się nie poddaje, jeszcze dłońmi zabłąkanymi w mroku
odgarnia popiół z powieki i ślepej wardze
przekazuje modlitwę,
dźwięczącą wśród żeber jak w kuźni.

To nieprawda, że Nadzieja umarła. Jest ciężko chora. Bowiem
nie ma nikogo, kto by u jej wezgłowia
czuwał w noce, spalone maligną, i ustom pragnącym
przychylił litośnie dzbana
wezbranego wodą ze studni.

Nie ma nikogo, kto by położył jej rękę na skroni
i chustką wilgotną otarł czarną gorączkę.
Ani poszedł do lasu narąbać żywicznych drew
i suto napalił w kominie, aby nie drżała na zimnie.

Nie skąpcie jej wody i ciepła, a wstanie z łoża.
Nie słuchajcie żałobnego wycia bezdomnych psów,
co krążą po pogorzeli jak tłum grabarzy.
Noc jest ta sama co zawsze.
To tylko wasze ogniska
pospały się ciężko w popiele,
niepodsycane paliwem.

Oczyśćcie wasze studnie, zaniesione zielskami i mułem,
aby zaczerpnąć wody dla chorej Nadziei;
idźcie do dzikiej puszczy,
nie trwożąc się lwa ani szakala,
aby narąbać drew i suto napalić w kominie,
aż zbudzona Nadzieja
z uśmiechem wyciągnie dłonie do ognia.

A wtedy silni parobcy, co wyleli tyle krwi,
odnajdą zagubioną drogę do swoich domów
i zasiędą na progach dębowych, by znowu szare nici deszczu
zakładać na kołowrotki i tkać ornaty dla Bóstwa,
lub splatać w krzepką cięciwę,
co się nie zerwie.

Z dłońmi pełnymi urody świata na progu stoję.
Krążą nisko jaskółki. Ku stopom czołga się burzan.
Co niegdyś zdawało się metą, dziś już nie moje
i wiatr ostatnie źdźbła słomy
wymiata z mego podwórza.

Długo czekałem na podmuch,
co drzwi rozwali na przestrzał,
dom mój powali na twarz przed groźnym Bogiem.
Sam zaklinałem burzę, sam podkładałem ogień
pod butwiejące krokwie, pod zgniłe przęsła;
a oto ptaki słów pomarły na czarnych wargach,
wicher uderzył skrzydłem i tylko piersi potargał;
jedne burze odeszły, innymi niebo się mroczy,
któryż to raz
popieliska stają w pożodze?

Włosy spłukały deszcze, piachem nawiało w oczy
i wracam, skąd wyruszyłem, i próżno w światy odchodzę.
Straciłem rachubę czasu. Zegar się dawno zatrzymał.
Jutro przyszłością nie będzie,
a przeszłość dotąd się dzieje.
Ta sama noc spogląda wyłupionymi oczyma,
ta sama ręka wypycha na gromy i na zawieje.

Cegły strzaskane w pożarze ktoś skrzętnie pozbiera,
popiół wróci do gliny, obrodzą krzaki malin.
Z niedopalonych foliałów,
w krwią porudziałych literach
dziecko mozolnie odczyta
jak myśmy dzisiaj konali.

Popłyną tratwy flisacze po Wisłach i Niemnach,
dziewkom dorastającym nad ranem przyśni się miłość,
jak gdyby nasza udręka i wiedza były daremne,
jakby nas w życiu, a naszych prochów
nigdy w tej ziemi nie było.

A ja, com z owej burzy pragnął wyjść krzepki i nagi,
by odkryć świat zmieniony i nowym słowem nazwać,
zawisłem w nocy, odarty z nadziei i odwagi,
i broczę krwią powoli,
rozkrzyżowany na gwiazdach.

Nie prorok ale fałszerz w nocy do okien zastukał,
jałowa była burza, co miała ziemię zapłodnić.
Nie walka — bójka karczemna. Znachorstwo — nie nauka.

Hojnie nas miano nakarmić —
a oto znowuśmy głodni.

Lecz mięśnie, ścięgna i kości, co dojrzewały w rebelii,
nie chcą pokorze się poddać, w gniewie nie stygną.
Nim wapno serce spali, nim w kamień krew się wcieli,
jeszcze się słyszy ich krzyk
nad mrokiem i maligną.

Ustami pełnymi krzemieni zranione słowa wykrztuszam,
leci pod bose stopy płonący żużel.
Ciało moje jak grot, a ziemi napięta kusza
drży, aby pocisk wyrzucić.
Znowu czekamy na burzę!

Wtedy nasze zwłoki z krwawych popiołów obetrzesz,
rozkrzewisz nad nami Twój wiekuisty las,
życie odnowisz w śmierci i konstelacjom gwiazd
jak pawim piórom
każesz się sypać na wietrze.

Jak ptaki, co z gniazda wypadły, gdy wiatr je chwycił,
wysupłasz nas z mokrej trawy dłońmi Twej władzy.
Nad brzegiem czarnej rzeki, wśród olszyn i rokicin
pod świtem gorejącym
znów odnajdziemy się nadzy.

Twa burza krzywo nie chadza i w ślepe oczy
dżdżem nie uderza, ani w zdradzieckich zaroślach
czai się dzikim zwierzem.
Z groźnych uroczysk
chmurą nie pędzi i domów nie pali w złości.
Twa burza jest nam przychylna,
To smagły wioślarz,
który zbiegów wojennych
przewozi na brzeg wolności.

I.

Tam nocne krzaki czeremch pachną jeszcze słodziej,
tam złote jabłka gwiazd się toczą
po mchach zielonych gontów
i Czarna Hańcza o zachodzie
przerażonym oczom
wzbiera płomienną falą Acherontu.

Tam wiatr pontyjski jak narkotyk
osmala łubinowe policzki Białorusi,
aż brwi sokole w rzewny smutek stygną.
I sierp księżyca na rzeki sinym brusie
i pieśń tęsknoty
opadająca strachem i maligną.

Lecz pochylony ku czarodziejskim snom,
które się sypią spod gwiaździstego stropu,
urasta w baśń ojczysty dom
pod gęstym cieniem starych topól.

A wśród koniczyn złote roje much
i owsa brzęk u strzemion
i serca proszą się ku najwierniejszym uniom,
gdy białą gołębicą ulatuje Duch
nad domem, ziemią,
nad Perkunią.

II

Więc ów smagły czarnomorski wiatr,
co przewiewa przez serce borów,
i puszczańska, rozstajna
tęsknota jęła czary nad domem snuć,
i prosiły się w niańki łubinowa rzewna Białoruś,
czarnoziemna Ukraina
i zacięta bałtycka Żmudź.

A już szumom zielonym leśnego popłochu
inny wicher swój śpiew dopowiada,
na ramiona mnie porwał i w mroki mnie zmiótł —
to nie sielskie, anielskie,
to jest alarm, to wojenny pochód,
to jest krwawa zagłada
i-krzywda i głód.

Jakież leki szykujesz ku zapiekłym bliznom
jeśli uczył się miłości człowieka

na wezbranych czarnym tłumem placach?
Jak powitasz, ojczyzno,
gdy się w jawę ze snu przyoblekasz,
młodziutkiego, gorzkiego,
co tak ufnie do ciebie powraca?

Tyle z wiosny
ile kwiecia zostało w ściśniętych pięściach.
Spazm do gardła
i wiatr, zawsze wiatr zaplątany we włosach.
Nie uwiedziesz go, świecie ojczysty, do szczęścia,
gdy już w strofy się wdarła
dzika śpiewka lubelskiego bandosa.

Teraz słowom zdyszanym gniewne usta odszpuntuj,
rośnij w łunę
i serca płomieniem ogarniaj!
Byłeś nocnym sumieniem,
byłeś krzykiem natchnienia i buntu,
nim ci skronie całunem
nakryła daremna męczarnia.

Idziesz, burzo! On ciebie zwiastował i przeczuł!
Ty mu usta oczyścisz,
nowe pieśni, młode słowa podasz.
Dzisiaj jeszcze jest wieczór,
wichr zatraty i noc nienawiści,
ale w chmurach skłębionych
prześwituje już przyszła pogoda.

III

Już żelazna wilczyca mu drogę przebiegła,
już się serce szykuje ku świętym komuniom.
Byłaś z ziemi, a teraz nam bądź niepodległa,
nieśmiertelna, ojczysta Perkunio!

I płomienne języki szybują nad krajem
i martwa glina rwie się w Bożych słotach.
Miałeś Słowo.
Więc jutro niech ciałem się staje
w nowej księdze groźnego żywota.

Na ręce pani Janiny Śliwińskiej

I.

Wrześniowa noc nad Katalonią się pochyli
w piórach obłoków fiołkowych, w drżeniu gwiazd.
A mnie, dalecy moi, mili,
nim dzień więzienny w górach zgasł,
jeszcze się cienie chwil minionych zeszły tłumnie
i przybywacie wszyscy razem u mnie
po przyjacielsku spędzić czas.

Jak znikające echo myśl o przyjacielach,
jak do radości utraconej powrót.
W wieczornym mroku wirująca cela,
ludzie wpleceni w fatalny kołowrót
bezmyślnych godzin, nadaremnych knowań...

I cierpko mi smakują niewesołe słowa,
które zdławionym, głuchym tonem
do serca szepce nocny bies,
i patrzą okna wygwieżdżone
jak oczy pełne złotych łez.

U was? Czy fala się roziskrza
w malachit, w topaz, w ciemną sin i w lazur?
Czy w starym porcie głośny wystrzał
nie zwiódł zegarów ani razu?
Czy z kropli roś utkana kolia
świeci w mimozach a magnoliach,
a gdy księżyca wąski sierp
wzejdzie nad miasta panoramą,
czy w chórach świerszczy gra tak samo
rozkołysany park Liserbe?

Czy siadujecie jeszcze w wieczornej tawernie przy
winie, co jak uśmiech wyzłaca nam życie?
Jeśli wam kogo zbraknie, po cichu wspomnijcie,
mój cień usłyszy i stawi się wiernie.

A wracając tą drogą, która się zaczyna
w widmach krzewów,
wśród gwiezdnych konstelacyj błysków,
na romańskiej arenie, w przedwiecznych ruinach
zawołajcie mnie po nazwisku.

II.

Było mi z wami dobrze, a przeciem nie został.
Oddychałem spokojnie, a zbrakło mi tchu.
Daleki wicher nade mną się snuł
i droga była źrenicom zbyt prosta,
by za nią nie iść.

Więc znowu-m się wplątał
w przygody, którym kresu nigdy nie położę,
jak życia ,nie odwrócę. I fala dziewiąta
na niezmierzone porwała mnie morze.

To nie od dziś, nie od tej wojny
mój gniewny bunt i śpiew mój niespokojny
spada na oczy, trwoży myśl,
marzeniem próżnym żywiej krew porusza,
jak nie od dziś, jak nie od dziś
uderza sęp w Prometeusza.

A jednak, kiedym szedł ku nowym klęskom moim,
przez srebrne gaje widmowych oliwek,
nagły żal mnie uderzył skrzydłem niepokoju
i nawiedziły serce chwile, jakże tkliwe,
którem wśród was zostawił.

A później, a potem,
gdy niebiosa kamiennym toczyły się grzmotem,
gdy w niespokojne moje dzieje
wichrem, deszczem j ogniem weszły Pireneje
i noc zmąconych, czarnych chmur welonem
okryła oniemiały świat,
długo patrzyłem w waszą stronę,
jak teraz patrzę spoza krat.

Późny wieczór się kładzie nad starym Lublinem,
w szelest i w cień uciekają zamglone klony.
Granatowieje niebo, dotąd błękitne i sine,
na Tatarami opar się wznosi zielony
i zmierzch fiołkowy otwarte bramy nasyca...

Kroki moje zgłuszone w mrocznych lubelskich ulicach,
powrotne kroki młodości raz jeszcze niechaj usłyszę!
Głowę moją szaloną niech tamten wiatr ukołysze,
w gęstwie jaśminów zaszumi,
wzburzone włosy potarga,
niech wszystkie dawne zaklęcia zbudzi na wargach
i starą furtką zaskrzypi,
gdy klucz w niej z wolna przekręcę,
by oprzeć drżące skronie o spracowane twe ręce.

Coraz ciężej zasypiać, budzić się coraz trudniej,
bezradna dłoń opada na głowę małego wnuka.
Ognistymi kołami w znużonych oczach południe,
po nocach budzisz się, gdy gałąź w okno zastuka,
nasłuchujesz długo — odwieczna matczyna praca —
gdy się kroki wstrzymają przy bramie:

— To może syn mój powraca...

A on nie powraca, zły, niedobry syn,
a on nie pisze nawet, jak zawsze... przedtem...

„Na próżno go przywołuję codziennych modlitw szeptem,
daremnie go rozgrzeszam ze wszystkich win...
Nie przychodzi,
zabłąkał się wśród obcych, dalekich ziem,
nie poradzą, nie dopomogą
bezsilne ręce matczyne...”

O, srebrna moja, najbielsza,
teraz dopiero wiem,
naprawdę złym byłem synem.

Noce rzucone na pastwę szalonym snom,
młodość, co była rozterką, gniewem, rebelią i pychą.
Wszystko rozwiało się w burzy,
wszystko przepalił grom,
że się jak liście umarłe po ziemi ścielą...

A tylko gorzki twój płacz zbłąkaną jaskółczychą
wciąż krąży nad pogorzelą.

W tej drodze, którą idę skroś zbójeckich borów
przez świat, co mnie otacza jak bezludna pustka,
zwierzęta głodu, trwogi i pomoru,
świecąc płomieniem ślepiów, chciwie węszą w ślad,
na skrzydła rudych łun porwany wiatr
na twarz opada zakrwawioną chustką,
znużone stopy potykają się na grobach
i próżno w list do ciebie
chcą się związać słowa,
słowa
stłumione jak płacz...

I.

Mówiłem do was co wieczór. Czerwone światło zapalało się.
Zapalało się uniesienie, gniew, czasem czułość.
Słowa biegły w mrok — iskry rzucane na hazard.
Niekiedy wracały. Wdzięcznością, chropawym słowem
kogoś, kto chętnie chwycił iskrę na pierś,
bo sam się od dawna chciał zająć płomieniem.

Wtedy słowa bywały celne. Z wygodnego schronu
nie trudno brać cel na muszkę i sprawdzać wielekroć,
nim się za spust pociągnie. To nie było trudno.
Trudno było mówić do niemych.
Do niemych mówić — sparaliżowanemu.

II.

W snach wędrowałem ku wschodowi.
Przepływałem rzeki, czołgałem się w zaroślach.
Szukałem znajomych śladów na wydeptanych drogach.
Stalowy świt zastawał mnie tam, gdzie jestem:
bredzący w delirium,
nieuleczony z tęsknoty,
wciąż badający horoskopy gwiazd.

Spodziewałem się tamtej burzy. Oczekiwałem jej.
W żyłach wzbierała krew jak w barometrze.
Z roku na rok wiedziałem co się stanie.
Alem był jak pijany okręt na oceanie,
co opluwamy fal .wzburzonych śliną
do żadnego portu mię zawinął,
ani na dno nie poszedł.

Polarna Gwiazda do siebie wabiła go,
gnijąca gęstwa Sargassa otoczyła go,
przy widywały się wraki innych okrętów;
ulewa konstelacyj nie przestawała go smagać,
pleśnią butli omszałych zarosła odwaga,
nie zostało nic,
oprócz żalu i wstrętu.

Lecz to dość, aby wolę obudzić w człowieku,
aby gniew swój na myśl zimną przekuć
i ostrze zwinnego sztyletu zatruć;
aby palec zagiąć pod żebro: — Czy żywa? —
z komediantów trupie maski pozrywać

i rozwalić ściany teatru.

Rozwalić budę zbitą z desek.
Scenę, po której chodzą worki wypchane trocinami,
wygrażające mieczami z łuczywa,
wygłaszające tyrady, z których nic nie wynika,
dosiadające bachmaty na kółkach,
o konopianych grzywach,
w hełmach,
które nie zdadzą się ani na misę cyrulika.

Zaczerpnąć w płuca tchu, a obali się sama.
Przed nami ściana mroku.
Trzeba wszystkie do niej podejścia z ruin oczyścić,
aby nie przeszkadzały jutrzejszemu szturmowi.
Trzeba odpędzić tłumy krzykliwych ciurów:
wrzeszczą i wygrażają,
a pierwsi poddają się panice.

III.

Nie chcę dłużej mówić na odległość.
Nie chcę krzesła — potrzebne mi siodło i strzemiona.
Pragnę przepłynąć rzekę wybraną,
czołgać się w zaroślach, które mi są przychylne,
i oglądać stalowy świt nie tu, gdzie jestem.

Potrzebna mi inna miara moich słów,
niż ta, którą daje huczący linotyp
i pióro krytyka,
poruszające się jak rak do tyłu.

Muszę sprawdzić raz jeszcze, czy ojczysty wiatr
nie mylił się, gdy brał maskę z mej twarzy,
maskę nie pasującą do waszych karnawałów.

Upokorzony paraliżem, ogłaszam akt rebelii.
Karbonariusz marzenia, konfederat dumy,
któremu obrzydły nocne rodaków rozmowy.

Nie tylko to mi obrzydło. Potomek wyrodny,
nie wyciągnę starej dwururki z lamusa,
gdy hasło poda obcy, lub swój w obcej służbie.
Nie zaniesiecie mnie do swego Panteonu.
Chcę zginąć inaczej. Tak, aby mój zgon
wzniecił płacz tysiąca matek nieprzyjacielskich,
by ich sieroctwo tego zgonu było ceną.

Mam dość litości. Wolę nienawiść.
Nie chcę być podziwianym męczennikiem,
który z nałogu krwawi.
Sprzykrzyło mi się mieszkać na cmentarzach
i nie mam powołania na żebraka.

IV.

Z cudzoziemskiej korzystając łaski,
mówiłem do was co wieczór.
Wpatrywaliście się w mój głos,
jak w światło migającej latarni.
Ale nie mogłem upewniać was w żadnym z mych przeczuć.
Mogłem tylko podsycać wasz gniew lub niecierpliwość
i oznajmiać,
że tchórze i oszuści pamiętają i o was.

Przebiegłość i nienawiść oto szczęka ośla
na Filistynów. A jeżeli przy tym
trzeba będzie liszkom podpalić ogony,
i na to się zdobędziemy.

I obudzi się człowiek wolny w zaroślach,
i władzę w członkach odzyska paralityk
i rozwiązane będą usta niemych.

Jakiż sens brać w dłonie ciepłe trupy wydarzeń,
jeśli nie można ich wskrzesić,
jeśli nie można ich zmusić,
by po raz drugi umierały inaczej ?

Zawodowi tych spraw opowiadacze
potrafią wymierzyć proporcje
między piaskiem, którym rzuca się na powieki zmarłych,
między słowami, które wygłasza się, czkając na stypie;
umieją wymierzyć trumnę
i rękę, która kwiaty sypie.

Zawsze lubiłem cmentarze. Lubiłem w nocy
drzemać wśród grobów, porwanych powodzią jaśminów.
Powietrze zalewało krtań chmielnym płynem,
słowiki krzyczały na cały świat o swoim szczęściu,
oszalałe, w miłości niesamowite.

Cmentarz kołysał się, wzbierał wiosną, żył.
Budziłem się późnym świtem.
Na pobliskim pagórze chłop prowadził konie:
szły rześko, pobrzękując kantarami.

Ten cmentarz już nie śpiewa.
Dawno zamilkł
głos, co był głosem umarłych,
ale zachęcał mnie do życia.

Nazwiska na kamiennych tablicach się starły
nie pamiętam ich.
Drewniane krzyże pod murawę się zapadły,
z próchna nie wydobędę ich.
Zapomniałem na ile ciągnął się stajań
i zatraciłem miarę dzisiejszych wydarzeń.

A cmentarze stoją w kwietniach i majach,
w sinej mgle świtów, na plusze i skwarze,
unoszą w dłoniach ciepłe trupy lat —
i po każdym pogrzebie grabarze
przy podziale srebrników kłócą się zajadle.

Tak nieraz, gdy kruszyłem suchy chleb, w mój ślad
leciały z wrzaskiem wróble, gile, trznadle...

I chciałbym je wszystkie wziąć w dłonie
i wskrzesić, aby po raz drugi umierały inaczej,
a to znaczy,

że musiałbym wskrzesić sam siebie,
aby inaczej żyć po raz drugi
i zasłużyć na jaśminy, na słowiki,
na cmentarz...

Przechodzi pogrzeb po pogrzebie
i pod skrzydłem szarugi
wolno wleką się żałobne zwierzęta.

Nie ciebie, żelazo, pokryte krwawą rdzą,
nie ciebie, dźwięczna miedzi, kłamiąca ludzkim uszom,
ani was, srebro i złoto, pochwalam.
Żelazo przegrodzi drogę czułym snom,
miedzianymi słowami usta się zakrztuszą,
srebro i złoto
zastygną w posąg Baala.

Was pochwalam, kamienie, kościec ojczystej ziemi.
Was, bazalty, poczęte w ognistej udręce,
granity, co okrzepły w bólu i rozpaczy.
Głazy przydrożne — świadkowie moi niemi,
słupy graniczne, jak w pięść ściśnięte ręce,
których kamiennej treści
nikt nie przeinaczy.

Raniłyście mi stopy do krwi,
gdym wlókł się wśród pyłu i znoju.
Rozgryzałem was zbolałymi dziąsłami,
ścierałem się na proch,
wtłoczony między wasze żarna.
A wciąż trwa między nami wiekuisty sojusz
i noc ziemska nas połączyła,
czarna noc
kamieniami ciężarna.

Bracia moi posępni, bracia moi bezwładni!
Nieszczęście przenosicie na swych barach przez rzeki,
podścielacie się pod kopyta dzikich armij,
milcząc, układacie się w więzienne mury,
jesteście z tłumem, który krzyczy: — Ukamienuj!
A noc trwogą hojnie nas karmi,
złodziej dobytek nam kradnie
i już kościom brakuje wapna,
a płucom tlenu.

Czarne głazy, piaskowce niszczejące,
pleśnią przeżarte, bite deszczem, udręczone,
skrzepłe w gruzły jak dłonie bandosa,
nagie skały, kostniejące na złych rosach,
twardniejące w nienawiści krzemień,
słońce na was nie patrzy, gwiazdy was nie widzą
i tak trwacie,
wrastacie w ziemię.

Ale dłutem naznaczone na krzyż,
ale kielnią przeżegnane szeroko,

pozbywacie się bezwładu i ciężaru,
podrywacie się, skrzydlate, w górę,
jasną łuną pożaru
rwiecie ku obłokom
w kształt natchniony,
w rytm,
w architekturę.

I bazalty, co stopy ścierały do krwi,
i granity, com rozgryzał je zbolałymi dziąsłami,
już podają pomocne ramię,
cieniem chłodzą mnie w spiekę
i śmierci mej strzegą:
twardy kościec ojczystej ziemi,
głaz, kamień,
opoka
Kościoła Wojującego!

Adamowi Uziemble

Nie, nie po to!
Nie po to nas matki rodziły,
nie po to chyliły się nad wezgłowiem, spalonym gorączką,
nie po to słońce ukrop wlewało nam w żyły,
kiedyśmy biegli przez białe stadiony;
nie po to wysławialiśmy miłość oszalałymi ustami,
nie po to poiliśmy się żalem i tęsknotą,
nie po to sami byliśmy kochani,
nie, nie po to, nie po to,
nie po to!

Nie po to, aby nas obca przemoc zaprzęgła
w jarzmo bydlęce.
Nie po to, byśmy strzelali zza węgła
i — dziećmi — we krwi nurzali ręce;
nie po to, byśmy kryli się jak szczury
i w rodzinnym mieście schodzili do ścieków,
ani świtem zwilgłym i ponurym
mordowali na rozstajnych drogach,
ani wroga
widzieli w człowieku.

Nie, nie po to!

Nie po to, byśmy nienawiścią się truli
i sami wrastali w nienawiść;
byśmy w sztylecie i stryczku i kuli
widzieli znak, co nas zbawi;
nie po to, byśmy na rogach obcych stolic
budzili śmiech szyderczy albo litość,
i nie po to,
by, zdradziwszy i pohańbiwszy dowoli,
znów nas strzałem w tył czaszki zabito.

Chcemy powrócić na białe stadiony,
chcemy odnaleźć dłonie przyjazne i spojrzenia szczere.
Zroszone kwiaty wiosennych czeremch
rwać dla kochanki lub żony.
I w ramionach siwych naszych matek
utracone dzieciństwo odnaleźć,
wypłakać nasz ból i zatratę,
nasze czyny zbrodnicze, nasze żale
wyprostować ściągnięte brwi,
a gdy sny nam się przyśnią,
niechaj każdy z nich będzie

jako dzikie, nad stepem lecące łabędzie,
a nie ptaki
rozszarpane w własnej krwi.

To właśnie po to!

Po to język nasz głuchy i wzrok niemy.
Po to mordujemy na rozstajnych drogach.
Po to zemstą codzienną się trujemy
i w człowieku widzimy wroga.:
Aby nie zginąć w podstępnych pętach,
aby nie zmarnieć w konwulsjach i skurczach,
by nie zmarznąć na zimnie, nie uschnąć od gorąca,
by serca przestrzelonego nie wykrwawić.

Dlatego nas pielęgnuje i kocha
matka nasza, narzeczona najczulsza,
zawzięta,
twórcza,
odnawiająca
nienawiść.

Ten, co dziś milczy w klasztorze trapistów,
bo po takim wybuchu przyjść musiała cisza,
co w owej chwili słyszał?
Nic, żadnego świstu
w górze nie słychać. Tylko chmura gęsta
i ten grzyb, jadowity, olbrzymi muchomor.
W nim płomień.
Bo tak zawsze jest, że w dniu zwycięstwa
potrzeba, by pożary szły ku ludzkim, domom.

Niedobry byłem uczeń. Na lekcjach fizyki i chemii
nieraz Szekspira połykałem, lub zachwyconymi
wargami piłem miody greckiej mitologii,
pszczoła przypięta do kwiatu.
Prometejski Ogień
bogom skradziony, serce mi przenikał.
I tam także był ogień.

Ale komunikat
o Prometeuszu nie wspomniał. Po latach czytałem,
w jakich wzorach wsi i miast zatrata zawiera się.
Że z więzów żywioły rozkuto,
że przeciw nam jest ziemia i obłoki sine.
Uran... Pluton... Jam wiedział tylko,
że istniał bóg Pluton,
co krzyczącą do piekła porwał Prozerpinę.

Jakież dziecko dziś zaciekawią, losy Prozerpin
na lekcjach fizyki?
Który z chłopców, pilnie wzory kreśląc,
pomyśli, że te znaki to symbole cierpień,
ogarniających ziemię nieobeszłą
krwią, dymem i przekleństwem?

Ku wiosennym polom
wybiega, aby pierwszych dostąpić namaszczeń
przyszłej zbrodni.
Gdy z papieru sklejony samolot
kołuje i opada, chłopiec w dłonie klaszcze.
Może i tamten pierwszych dni urodę
tak przebiegał. I od towarzyszy dłużej
z biciem serca trzymał w ręku samolotu model,
po nocach o lotniczym śmiać mundurze...
Ale w dniu owym ujrzał jak struty muchomor
rośnie nad miastem — zgubę, śmierć, łakomą
życia i szczęścia... I usłyszał
dekalog, co się streszcza w jednym słowie: Zabij!

Więc zszedł z chmur
i na mundur rzucił ciemny habit
i wieczną ciszę ma za towarzysza.

Niech na jej szali tamte zgony zważy,
o których nic nie wiedział. Nam nie zda się na nic
płacz gorzkiego milczenia i skurcz młodej twarzy
Nam na nic...Chcemy poznać zawiły mechanizm,
co znad podręcznika fizyki w białej szkole
wyprowadza nad śmiertelne pole,
nad zwłoki drzew spalonych, nad strumienie nieme,
żelazo pokręcone, osmalony cement,
między widma, między cienie, między jony...
Nie do klasztoru nam iść, przerażonym!
Nie do klasztoru...

Ziemia, co parzy do krwi, skała co przepala
nasze kości na siarkę, na smołę, na potaż;
łodzie wypełnione popiołami unosi rzeczna fala,
powietrze rozkrusza płuca.

To wszechogarniający sabotaż
bośmy byli z nimi niezgodni.
Materii,
bośmy ją zmuszali do zbrodni,
więc nadeszła w piorunach i grzmotach.

Zanim się świeża latorośl z żużli wygrzebie,
nim zboże przez stosy trupów zacznie się przegryzać,
gwiazda złowroga zawisła na niebie,
szuka gdzie rzucić swój cień.

A na ziemi pochmurny partyzant
szykuje broń.
Rebeliant, spiskowiec
przechodzą obok klasztoru trapistów.
Dzikie zwierzęta są już z nami w zmowie
i ziemia czeka zapowiednich listów.

Pogruchotaliśmy kości wrośniętym w ziemię głazom,
poszarpaliśmy na włókna jej trzewia.
Ten wiatr, co swobodny szumiał w drzewach,
teraz dźwiga na swych barach żelazo.
I rzeki jęczą jak ludzie w niewoli skuci,
i powietrze dostarcza nam trucizn;
i ptaki niebieskie nam nie wierzą,
ani zagon przyjaźnie podpływa
pod ostrza pracowitych soch;
nie ma więcej ludzi ni zwierząt,
jeno noc,
jeno noc przeraźliwa
i podziemny
rozpaczliwy szloch.

Bo drzewa już nie rosną ku radości,
ale ku zgubie.
Bo głazy rozbija nie kamieniarz, ale złośnik,
by innego zbrodniarza ubiec.
Bo zioła w lesie zbierają nie znachorki,
ale wiedźmy.
I dlatego choroba w każdym domu
i na bydło pada czarny pomór
i smutek krąży nad dziećmi.

Nie pozwólcie na noże przekuwać waszych soch!
Nie pozwólcie zasadzać ziaren siarki w ziemię!
Kiedy stal potrąca o krzemień,
niechaj iskra nie pada na proch.
Przywróćcie zagrabiony spokój szarym głazom,
obmyjcie z krwawej rdzy
sponiewierane żelazo;
wypuśćcie z więzień wiatry swobodne
odbudujcie gniazda braciom-ptakom
— one jedne nieba są godne —
nie zatruwajcie nieskalanych wód.

Odnówcie zapomniany Zakon,
zwróćcie szczerość każdej pieśni nucie i
ludziom ziemię przywróćcie,
a ziemi Człowieczy Ród!

Oto skały wstają z swych łożysk,
trawa grozi ostrzami chciwych noży,
rosną szpony skowronkom i gołębiom.
Siarka zżarła zagony żyzne
i z trzew ziemi wyzwolone trucizny

nad mętnymi źródłami się kłębią.

Połączyły się drzewo, ogień i metal,
idą krzemień, żelazo i ołów.
Huczą wichry na fal morskich grzbietach.
Oto zemsta rozwścieczonych żywiołów!

Idą uwalniać swych braci,
których-ście w jarzmo zbrodni zaprzęgli.
Idą rozwalać Babilony,
którymi-ście własnej nędzy dosięgli.
Idą mścić się za hańbę i poniewierkę,
aż się każdy z was
spopieli i zwęgli.

I pękną spojenia gmachów i kamienie wrócą
do gór ojczystych,
a rzeki jarzma mostów odrzucą
i odpłyną do źródeł czystych;
rozwiążą się żebra okrętów,
wichr wymiecie wasze dobra do szczętu,
pożar wstanie na dworach i folwarkach.
I będzie tak
jakeśeie w snach nikczemnych marzyli,
i stanie się tak
jakeście głupio umyślili:
Tylko płomień, dynamit i siarka!

A gdy po was tylko wir na oceanie,
a gdy po was
nawet wspomnienia nie zostanie,
zbudzi Bóg dwoje ludzi w czystości swej nagich,
po imieniu na nich zawoła,
da im w ręce znak miłości i rozwagi,
aby szli w przedświtowych cieniach
tworzyć życie na waszych popiołach
w pierwszym dniu
Nowego Stworzenia

I.

Tam gdzie jasny miecz i ciężki pług,
gdzie się lemiesz z czarną ziemią porał,
gdzie wśród borów i rozlanych strug
dłoń chwytała za stylisko topora;

gdzie zadumą pociemniałym brwiom
leśny wicher gorycz stepu przybliża
gdzie gorące kaliny bujną krwią
obmywają czarne stopy krzyża;

gdzie puszczony stępa siwy źrebiec
węszy czad i na wieczorne cienie parska,
a skłębione chmury na niebie
podpełzają jak horda tatarska;

gdzie co nocy swawola złym snom,
a sny groźne z burzami są w zgodzie,
gdzie spalony ręką wroga dom
i wycięte jabłonie w ogrodzie...

Tam zaciosaj na zawsze graniczny swój znak,
mogiłami gęsto kopce wyznacz,
by ci z pól, rozłogów i młak
nie spłynęła wykrwawiona ojczyzna.

I gdy pieśń, szalona pieśń od Wschodu
truje serce jak łyk okowity,
waruj, pilnuj ojcowskich rodowodów,
cmentarzami dziedzictwo swe wytycz.

II.

Jeszcze pochylę się czule
nad dalekim kaukaskim cmentarzem
wezmę w ręce ciężką grudę ziemi,
akacjowym gąszczem zarosłą;
jeszcze w pamięć synowską cię wrażę,
proch najświętszy do ust przytulę,
jeszcze imię twe ujmę krzepko w dłonie,
by mi w życiu było jak wiosło.

A od ojca zadeptanej mogiły
podam hasło wołyńskim pagórom,
by chroniły, by nie wydały

ubożuchnej panieńskiej truchty.
Niech spoczywa pod słońcem i chmurą,
niech zetlałe kosteczki i żyły
w nadhoryński wrosną czarnoziem
i by ziarna ich nie zagłuchły.

I pokłonię się jeszcze po raz trzeci
mogile, najgłębiej rozdartej,
w podsmoleńskim, naddnieprowym lesie,
gdzie mu czaszkę kulą wroga przebito
niech sprawuje naszą wieczną wartę
na skrzyżowaniu stuleci,
niech na rękach związanych uniesie
nieśmiertelną Rzeczpospolitą!

III.

Więc dopóki wiatr ogień rozżarza
w prochach zmarłych, nim dołączysz i twoje,
będziesz trwał na odwiecznych cmentarzach,
jako szabla wbita po rękojeść.

I po wieki wieków jasny lemiesz
będzie trącał o zbutwiałe polskie kości,
które wrosły w niewolniczą ziemię
gorzkim ziarnem zaciekłej wolności.

Z trzynastoletnim chłopcem o czym ma mówić i jak
w połowie drogi stojący poeta?
Jeszcze w arteriach krew wzburzona gra,
jak wiatr wysoki w gniewnych fletach,
ale serce już czuje, że zwycięstw nie zazna.
Gdy życie okrążyła wilczyca żelazna
i gwiaździste zwierzęta, budząc się w Zodiaku,
na nowo płoszą rżeniem niespokojne noce...
Ich mroczny wyrok ramiona nam zakuł
w jarzmo wzgardliwej epoce.

Jakie przewagi w spadku mu przekazać,
by pochylony nad księgą otwartą,
poznał, że przeciw armiom spiżu i żelaza
stawaliśmy nie próżno, i uznał, że warto
górnym krucjatom zdrowie swe zaufać —
gdy jeno ciału zagraża zimna lufa,
gdy jeno ciało na szwank się wystawia,
ale myśl groźna nie zna ziemskich ran —
i niezwiedziony głosem sępa, ani pawia,
wszedł w młode życie jak w żołnierski stan.

Wcześnie nam rozpalonym zalano patosem
zduszone krtanie, a jednak zbyt późno,
bo już wiatr szpony wyciągnął ku włosom
i w ciężkie mioty niewidomym kuźniom
rzucono los nasz.
Burza szła jak hymny,
jak pieśń, na zbrodnie i zasługi czuła,
lecz, tnie gorących zastawszy ni zimnych,
poznała letniość i precz nas wypluła.

Trzynastoletniemu co mam mówić, prócz
tego, co pali serce jak śmiertelne grzechy,
żeśmy zwycięstwo wśród przedwczesnych uczt
przehandlowali na nędzne uciechy,
a gdy co drugi z pijaństwa się ocknął,
już legły rękawicą żołdaka zbyt mocną
pobite wojska i ziemie
i dziś patrzymy z dala, jak wróg domostwa rozwala
w ojczystym Jeruzalemie.

O czym mu mówić, prócz tego, że darmo
nie zwilży krtani ani kropla szczęścia,
że sen oddany będzie conocnym alarmom
i częściej ujrzy dłonie zaciśnięte w pięściach,

niż otwarte ku drużbie i uściskom szczerym.
Albowiem z Tym, co rządzi nad światy i sfery,
nie pokój ku śmiertelnym przybliża się, lecz
aniołami zatraty Jego oficery
i zwykli szerzyć bezlitosny miecz.

Niech zna młodziutki, zanim w gorzkość podrósł
i usta oddał spalającym wiatrom,
kroki żołnierza, gdy stąpa ku siodłu,
aby wyruszyć na wojenny patrol;
niechaj dojrzewający w burzy i pożarze
ćwiczy się pilnie w szkole twardych marzeń
i barwy strachu na lica nie wyda,
jeśli zabłąkanemu w saraceńskich lasach
zbyt wcześnie przyjdzie swe biodra przepasać
szablą świętego Godfryda.

Jedna mu miara na świat. Według myśli.
I jeden w sercu wypisany zakon.
Gdy my tu... jeszcze w powietrzu zawiśli,
podrywający się ku wolnym ptakom,
lecą stopy z ziemi opłukać niezdolni...
Jako górnik w pół drogi z zatopionej sztolni
wstrzymany...
Kiedy nad nim pogoda i słońce,
a pod nim huczy wzbierająca zguba,
z podziemia widzi niebo, zstępujące
jak po drabinie Jakuba.

Niech na nią wchodzi swobodnie i niechaj
zdobywa, czegośmy posiąść nie mogli.
Wielki zarówno w zasługach, jak w grzechach,
niech rozplątuje zawiły hieroglif
mrocznego losu ludzkiego, a jeśli
na drzewie hańby Syn Świętego Cieśli
znowu zawiśnie i żywioły wstaną
przeciwko prawdzie, niech dumnie zaprzecza
tak prawem księgi jak i prawem miecza
tryumfującym poganom.

Którym się zawsze do walki zapalał
i usta dźwigam strawione na żar już,
ku młodziutkiemu raz jeszcze się z dala
zwracam i w życia rozpoczęty diariusz
wpisuję pieśń mą cierpką, jak gdybym testament
niezłomny przekazywał:
Niech troski me zliczy
i wstanie czołem nad chaos i zamęt,
idących lat budowmiczy.

Zahartowany na tym piśmie uczeń
wyjdzie naprzeciw państwom ziemskiej trwogi,
Krzyżem i Mieczem jak podwójnym kluczem
otwierać bramy Świętej Teologii.
A gdy skronie bolesne po bitwie opłucze,
ta pieśń mu będzie jak odblask pożarów,
poczętych w gorzkim i namiętnym sercu,
jak przekazanie starego sztandaru
w godniejsze ręce młodych spadkobierców.

I.

Znowu siano zapachnie w młodych snach,
Lublin ocknie się lipcowym srebrnym świtem.
Kiedy białe gołębie wylecą nad dach,
jakbyś wstrząsnął gałęzią jaśminu.
A tam pola dojrzałe, zboża złotolite,
senna cisza kładzie się na naszych krokach.

Ale ty nas, ziemio, nie winuj,
że żałobny niesiemy ci brokat,
że cmentarne przywidziały nam się smutki
pod tą pieśnią, którą głucho
jęczą, huczą gliniane dzwony...

— Życie nasze snem krótkim —
mówi głos,
mroczny głos z tamtej strony.

Było kiedyś weselej i gwarniej,
gasił wiatr mgliste świece dymiącym kasztanom,
ciepłem wiało z przedmiejskich piekarni,
zlatywali aniołowie nad ranem,
kładli skrzydła srebrzyste na lubelskich malwach,
wonią bylic i ziół ochraniali od miecza.

Tylko tyle — cichy polski Monsalwat,
śpiewna nuta człowiecza.

Płyną panny wieczorne z ciężkim żniwem w koszach,
światło we włosach im zapala smukła ręka czyjaś.
Jeszcze uśmiech młodego dobosza,
gdy idącym żołnierzom takt do rytmu wybija,
jeszcze dzieci w ogrodzie toczą żwawe kółka
i z kościoła starego sygnaturki jaskółka:

Zdrowaś, zdrowaś Maryja…

II.

I już się konie, całe w śnieżnej pianie,
między sobą gryzą.
Ach, to nie huczy głośny taniec,
to nie słońce oczernienia horyzont;
zakołowało czarne ptactwo — i południe jak północ —,
chwieje się każdy dom, na złej fali wywrotne czółno,

ląd na połowy rozpęka,
na kamienie ognisty spada chrzest.
Teraz w bezwładnie rozrzuconych rękach,
w brwiach ściągniętych milczenia patos.

O, jakżeś piękna jest,
gdy swój sandał przysuwasz,
przyjaciółko nasza,
Thanatos!

Ciemny cmentarz wkołysal w szum liści,
wycia syren nie słyszysz, takeś ciężko się pospał.
Ściany domów pokrył trąd i ospa,
twardy zakon ludzkiej nienawiści
w miastach naszych wstał Apokalipsą.

Ale w domu, rodzinnym domu
drzwi tak samo oprawione w skrzyp są.
Spoglądają ciemne twarze glinianych świątków.
Ach, ta sama Polska, która była od początku,
ojczyzna poetów, uwodząca i gorzka jak piołun,
z czołem w błyskawicach,
ze stopami w żużlach popiołu,
zadumała się, zasmuciła się,
zbladły lica,
gdy jej synów do wspólnego kładą dołu.

Zmierzch ku drzewom, jak archanioł ku Maryjom,
pochylił się wieść dobrą zwiastować w ogrodzie.
Zaraz dłonie nocy powieki nakryją,
jabłonie zapachną slodziej,
gwiazda spadnie — kwiat uwiędły z listu.

To tylko twój czas odchodzi,
to na smagłe łono cię przyjął
Porfirogeneta Chrystus.

Pamięci Zuzanny Ginczanki

Nie pasałaś swych stad na górach Galaadu,
nie biegałaś pod namioty Kedaru.
Nie widziano twoich drobnych śladów
Wśród winnic znojnego Engaddi.
Nie witali cię pasterze śniadzi,
kiedyś szła przez Heseboński parów,
Aleś była jako szafran i cynamon
i jak trzcina w rytmie biódr i ramion,
I cieszyła się wołyńska cisza wiejska,
ku słowiańskim unosząc cię pannom,
czarnowłosa przyjaciółko hebrajska,
och, Szulammit, Szulammit,
och Zuzanno!

A przechodziłaś światem, od miłości chora,
snopek mirry pod piersiami niosąc.

I miłości zjednywałaś, smagła mandragora —
brzuch twój z nardu, a uda twe — mosiądz.

Jako sarnie bliźnięta, pasące się pod miastem,
spoglądało młodych piersi dwoje;

wargi twe w pocałunkach — ciężki miodu plaster,
miód i mleko pod językiem twoim.

I palmą izraelską wyrosłaś swobodnie,
w owocowe rozdwoiłaś się grona,

I jak palma się gięłaś, gdy krzepki ogrodnik
na pniu smukłym zaplatał ramiona.

A łono twoje było jak wezbrany księżyc,
podcieniony wonnymi fiołkami.

Lecz nie masz cię w Libanie i wróg cię zwyciężył,
och, Szulammit, Szulammit, och, Szulammit!

Płaczcie córki jerozolimskie,
rwijcie szaty nad Sulamitą.
Urąganiem i pośmiewiskiem
jej urodę martwą okryto.
Wyszedł z czeluści piekielnych wojownik zelżywy,
stratował róże Saronu, wyciął oliwy,

nurt Hebronu zmącił krwią,
dym pożaru wzniecił nad miastem,
rzucił ciało panny zabitej, szydząc i drwiąc,
między druty,
między druty kolczaste.

Zaszedł za chmurę księżyc fiołkowego łona,
wyschło źródło miodu i mleka.

Ziemia ogniem przepala bezwładne ramiona,
proch i pleśń na przymkniętych powiekach.

Usta oślepły, ogłuchł wzrok, a to jest
jakby wieża się zwaliła Dawidowa.

Krew na wargach — nie mirra, popiół — nie aloes,
gniją w piachu najpieściwsze słowa.

I gruzem zasypano sadzawki w Hesebonie,
ukamienowano lilię padolną.

Przebito ostrą włócznią twe usta i dłonie
i obudzić cię młodzieńcom już nie wolno.

Płaczcie córki jerozolimskie,
rzućcie wiatrom krzyk żałobnych ramion.
W ciężkiej glinie, pod czarnym urwiskiem
mirra, szafran, nard i cynamon.
W dzień pogański, w złe, przeklęte rano
rozrzucono bróg zboża, winnicę zdeptano,
porąbano siekierami
cedr, heban i sandał.

Lecz uroda zamordowanej
z przerażonej ziemi wystrzela:
to w wołyńskich dzikich trojandach
ciemna krew,
ciemna krew Izraela.

Gipsem w palcach rozkruszyło się złote serce
i z szuflady zginął stary testament.
Wydawało się, że słowa są te same,
coś poświęcał je córce swej, Kirze-tancerce,
kiedy noc ci zniżała srebrnych gwiazd kandelabr,
kiedy delfiny mroku o błękitnych skrzelach
podpływały, nadstawiając grzbietu,
abyś zdążył na dzień pierwszy książęcego wesela
godne miejsce brać wśród poetów.

Lecz nie były słowa te same. Bertrana de Borna
chudą kiesę nieraz władcy wypełniali.
I cesarską hojność często chwalił ubogi
minnesaenger.

Ale niepokorna
była ich pieśń. Na kołpaku dzwoneczków nie niosła,
Uczciwością zwyczajnego rzemiosła
szła dumna; nie chyliła się, gdy dźwięczny dukat
upadł w błoto.

I dlatego sześcioskrzydli Anieli
przewracali im palcami karty Ewangelii,
gdy wiatr mroźny do izby zastukał.

Tyś na dłoni olbrzyma śpiewającym świerszczem
chciał podskakiwać. I ta dłoń się zwarła.
Przyłożono ci sztylet do gardła,
do pręgierza przybito czułe wiersze
i tańczyć rozkazano dokoła, bić w bęben.
Ten, co na ziemi niebieskim dziewosłębem
miał być, nadwornym stał się błaznem.

Więc łkał ku rzewnym nutom,
że on jest mistrz Benwenuto,
aż zdusiły go szpony żelazne.

Przyszła noc, lecz bez gwiazd. Na widmach i strachach
rozwleczona.
Nie odpędzisz zaklęciem.

Wiatr pozdzierał ci sekretne pieczęcie,
porozmiatał partytury Bacha.
Patrz, jak drzewo ołtarza, któreś pilnie złocił,
kroplami czarnej krwi się poci,
wilcze kły rosną z ust Apostołom,
diabeł goni wszetecznicę gołą

i rozhukane kozły
już cię cwałem powiozły
w mrok Walpurgii, w potępieńcze koło.

A nie wychodzić ci było z pracowni mistrza Cellini!
A nie przekraczać magicznej linii,
naznaczonej święconą kredą.
Cóżeś zmajstrował, cóżeś uczynił,
jak rozporządził słowno-śpiewną schedą?!

Dali zabawkę do rąk oprawcy, katowi.
Misternie wyrobiony był słowik,
rozrzucał się w trelach, kantatach i szeptach.
Ale kat chciał wydobyć pieśni inne,
wstrząsnął, kręcił, aż przekręcił sprężynę,
rzucił martwą zabawkę i rozdeptał.

On to powiedział tak jak gdyby nikt nie był winien,
że żona i córka pochyliły głowy ku kwefom.
To po prostu Inge Bartsch, śliczna samobójczyni,
zawołała go po imieniu przez telefon.

I już. I biały płomień mózg mu rozorał
i sztuczne kwiaty kłamstw na trumnę zwożą.
Ze skrzypiec, fletów niechaj mu wybuchnie chorał,
niech mu wybłaga łaskę Bożą.

A my, co milcząc, przyglądaliśmy się poniewierce,
unieśmy w dłoniach w pył skruszone serce,
co uwiędło na grzechach i pokusach,
i módlmy się za oplutych, skopanych,
codziennie ku hańbie podanych
przez kozła o diabelskich rogach,
wroga nas wszystkich i wroga
Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

Amen.

Pierwsza gwiazda jak złoty klucz,
którym się wieczność otwiera,
i ciemnym oddechem nocy unoszą się bory.
Ku wodopojom zstępują gwiazdozbiory
i w trwodze późny wędrowiec zamiera,
groźne czując spojrzenie, jakby nastawał kres,
dotyka rąk tajemnicy, a nie wie —
i oczy dłońmi zasłania
i nocy sens
w mrocznym odgadnąć chce śpiewie.

Toczą się srebrne okruchy
jak łzy spod przymkniętych rzęs
i Adam zstępuje ku Ewie.

Adam

Za ścianą naszego szałasu puszcza szumi jak potop,
dzikie zwierzęta krążą i ryczą,
ale ja się nie lękam.
Drobne twe ciało zakwita w moich rękach,
owoce twoich piersi wezbranym sokiem broczą.

Błogosławionaś
która się oddajesz ustom i oczom!
Która jesteś bardziej nad sen i walkę potrzebna.

Tyś jest strumieniem rozkoszy w nocy,
rozlewem spokoju we dnie.
Pozdrowione twe biodra, brzuch i kolana
jako chleb nasz,
jako chleb nasz powszednie!

Ewa

Przy dymnym ognisku włosy me czeszę,
grzebień mam z kości zwierzęcia, któreś upolował.
Pewnieś dzień cały ugór orał lemieszem,
albo rozmytą groblę stawiał od nowa.

Chodziłam długo, jagód szukałam po haszczach,
teraz piersi i uda oliwą namaszczam,
słucham szmerów, błądzących lasem:

czyjeś kroki ostrożne przed samym szałasem,
jeszcze nie widzę,
a już poznaję: To ty!
A gdy się schylisz i ciepłym ramieniem przygarniesz,
serce mi drży
jak w gęstwinie osaczonej sarnie.

Adam

Echo twych słów miodem wypełnia płuca,
a w niebie jako w twych oczach siwo i modro.
Jako rzeka, gdy nurt swój rozdwaja,
tak się w miłości rozrzucasz,
jako rzeka podpływasz ku moim lędźwiom i biodrom.

Zrastasz się ze mną co noc
w jedyność i całość;
nie ma ni świata ni nas, jest tylko ciało,
jest ciało, odpływające ku srebrnym porankom,
ku drzewom, ptakom
jak najrzewniejszym fletom...

Któraś jest nieśmiertelna,
niezmienna jak zakon,
żono
kochanko
kobieto!

Ewa

Najpierw jest wielka słodycz i czuły zachwyt,
potem rozdziera me ciało krzyku prujący oścień.
Ach, nocne tajemnice męką wezbranych pachwin,
ach, nigdy nie wysłowione,
tylko szeptem spowiadane miłoście!

Lecz nim się noc rozewrze, dojrzałej podobna morwie,
i wzejdą nade mną gwiazdami
oczy i usta twoje,
zanim się zjawisz i w rozkosz mnie porwiesz,
jakże się boję!

Adam

Mocniej rękami mnie zwiąż, szczelniej nogami skrępuj,
abym się w tobie utopił, zatracił jak na dnie,
bo za ścianami chodzi ryczący żywioł ostępu,
cóż pocznę
jeśli tu wtargnie i groźnym mrokiem opadnie?

Tygrysowi silnemu grot mój dziś czaszkę rozłupał,
zziajany, mokry od potu, zdeptałem trupa
i w niebo rzuciłem krzyk,
od którego lwie serca truchleją.

Zbliżał się siny zmierzch, szepty chodziły knieją,
nadciągały cienie rozżarte ze wszystkich stron.
I z szumiącego krzaka do mnie zagadał.
Przeraziłem się —
na wiedzionemu, pełnemu lęku
biada mi, biada
jeśli to On!

Nieznany wypełnia gęstwiny drzew,
a w nocy czuję za sobą odgłosy czyichś kroków.
Wczoraj słyszałaś z szałasu mój śpiew,
myślałaś długo:
— Dlaczego w śpiewie niepokój?

Bo niebo co dnia inaczej się mroczy,
znojne oddechy odzywają się z uroczysk
i księżyc — ogromny, czerwony — patrz! —
zstępuje wolno ku mglistym zalewom,
a ja nie rozumiem,
nie wiem — kto zacz?! —
dlategom w trwodze i śpiewam.

Ewa

Wstałeś o świcie, napracowałeś się dosyć.
całe ramiona masz w sińcach i krwawych zaciekach;
na jeżynach i tarniach stargałeś włosy,
stopy pobiłeś na głazach,
jak na krzemiennych ćwiekach;
ledwie przestała nas smagać śnieżna i mroźna północ,
przyszły powodzie, porwały jedyne czółno,
s. jeszcze przedtem jęczmienie wysięki nam grad,
a jeszcze przedtem — pamiętasz, pamiętasz? —
dzieciątko nasze najpierwsze,
nim doszło męskich lat,

płacząc, zaniosłam na cmentarz.

Więc czemuż, skoro klęsk i rozpaczy
od dawna nie brak
i śmierć codziennie czyha w zwierzęcych paszczńcfa,
jeszcze ci smutne serce wypełnia żebra
i krtań gorzkim śpiewem namaszcza?
Czemuż po trudu znojnego dniach,
gdy pot zalewa oczy i spływa po twarzach,
jeszcze i w nocy
ciemny, niezrozumiały strach
wyrwanych ze snu przeraża?

Adam

Próbowałem uciec, zaszywałem się w puszcze najdziksze,
chodziłem z oczami wbitymi w ziemię,
aby nie widzieć gwiazd,
a On mnie chwytał, krzyżował na wichrze,
okrążał ogniem po pas,
tęczą wyrastał na niebie,
szedł rozszumiały, skrzydlaty jak las,
przyzywał
nocnym lamentem żurawi...

I wiem:
mnie ani ciebie
nikt dwojga nas
od Jego głosu nie zbawi.

Zarzuć mi dłonie na szyję, ku piersiom przytul,
białym ramieniem odsuń
za ścianami huczące knieje.
W miłości i rozkoszy łatwiej dotrwamy świtu,
wtedy i On łagodnieje.

Ewa

Miałam dziś sen, gdym spoczęła na twoim ramieniu,
a tyś był także we śnie, znużony i spokojny.
Wicher mnie porwał ognisty i przeniósł
w nocne błyskania, w huczący żywioł wojny;
ujrzałem zwłoki młodzieńca z .włosami w piachu,
silne piersi miał całe zbroczone,
poznałam krew po zapachu;

nad nim stał inny, unosił głowę zwycięską,
okrążały go czarnym ptactwem burzy powiewy
i był głos:

— Otoście śmierci oddani,
bratobójczym walkom i klęskom
nędzni synowie Ewy!

Obudziłam się, przerażona, nasłuchująca,
i nagle poczułam
jak się ostro poruszył pod sercem
jeszcze nienarodzony, bez żadnych przeczuć i win.

Powiedz:
Czy to być może,
żeby bezwładny, zwalony przez mordercę,
i tamten czarny
byli naszymi dziećmi —
jeden i drugi syn?!

Adam

Nie myślmy teraz o snach, nie patrzmy w przyszłość,
niech nas nie lęka nocy drapieżne zwierzę.
O świcie czas mi wyjść
i nad wezbraną Wisłą
stanąć z rybackim więcierzem.
O świcie
zacznę się znowu przebijać przez trudny los...

O miła,
potrzebny mi będzie twój śpiewny głos
i widok pogodnej twarzy,
abyśmy doszli gdzie cel nasz,
gdzie nasza zguba i życie naszych dzieci.
Abyśmy razem, żono śmiertelna,
wyszli tym losom naprzeciw.

Ewa

Mówisz i słów twoich rytm
zapada w serce znużone mocniej j głębiej.
Uspokajam się, cichnę, jakby już świt
siwym nadleciał gołębiem.

Ach, dobrze wiem.
Nikt nas od męki i trudów nie odgrodzi,
nikt nam, ni naszym dzieciom
łatwego losu nie przyzna.
Poszukiwaniem, tęsknotą, walką ze złem
w człowieczym rodzie
stanie się nasza spuścizna.

Lecz wiem i to,
że o trud ten, którym stopy krwawią,
On, Wszechpotężny
skrzydła swoje otarł,
więc pochwalone niech będzie nasze szczęście i zło
i błogosławion
owoc mojego żywota.

Człowieku, któryś powstał z martwego prochu,
któryś mnie, śmiertelniczkę, pojął
i ku cichemu uniósł domostwu
mów jeszcze,
otom jest twoją,
niech mnie prowadzi głos twój

Chór śpiewa

Gasną świeczniki wzniesionych w niebo gwiazd, Czarny
Zwierz cofnął się w głąb, w puszczy zaczaił. Od życia
nazbyt łatwego zbawić chciej nas,
o Adonai!

Od wiecznej rajskiej pogody uchroń nas,
ku walce i twardym zwycięstwem podaj nas,
serce zahartuj w udręce, by nie osłabło,
kiedy wybije godzina bitewnych z Tobą godów,
rozpleń zasługę i grzech
jako odwieczną Jabłoń
na grzędach Twojego Ogrodu.

Synowie Człowieczy idą ku zapłonionym Córkom,
a każda jest jak w pustyni wezbrana studnia —
łączą się młode usta
i mroczne ciała podwórko
Bóstwo miłości zaludnia.

Żądzą objawia się żywioł w dżdżach i piorunach,
świat opasało tęczą Stwórcy miłosne ramię.

Wyjdźcie z łożnicy szczęśliwi,
zstępujcie ku nam,
matko Ewo, ojcze Adamie!

Na dwadzieścia siedem, utworów, zebranych w tym tomie, cztery powstały przed wojną, połowa - pozostałych w latach wojennych. Wiersz chronologicznie najróżniejszy — „Na śmierć Gałczyńskiego” — napisałem przy końcu roku 1953. „Jarzmo kaudyńskie” ukazuje się zatem z kilkunastoletnim opóźnieniem.

Zastanawiałem się czy należy włączać do zbioru wiersze sprzed dwudziestu i nawet trzydziestu lat, teraz, gdy dystans czasu zmusza mnie do przypisania wielu z nich jedynie znaczenia, bibliograficznego — etapów na przebytej drodze. Czy nie należało zatem przeprowadzić ostrzejszej selekcji?

Trudno mi było jednak stosować przy wyborze sprawdziany wyłącznie artystyczne, chodziło bowiem również o ukazanie w całej pełni linii rozwojowej problematyki poetyckiej, ściśle łączącej się z wydarzeniami historycznymi, a rzuconej na tło osobistych losów autora. Wybrany sprawdzian zadecydował, — obok rozpiętości w czasie: 1936-53 — o nie dość wyrównanym, poziomie książki. Trudno — niech świadczy nie tylko o osiągnięciach, jeśli są, lecz i o niepowodzeniach.

Dbałość o zwartość zbioru, dźwigającego określoną problematykę, spowodowała daleko idące wyeliminowanie liryki osobistej, której przecież zebrało się w owych latach niemoto. Przyjdzie na nią kolej przy innej, mam nadzieję, niezbyt odległej, okazji wydawniczej.

Tytuł „Jarzmo kaudyńskie” tłumaczy się, jak sądzę, sam przez się. Czytelnik przyzna, że ostateczny wydźwięk tych wierszy jest optymistyczny. Pokonane przez Samnitów w wąwozie pod Caudium, legiony rzymskie przejść musiały pod upokarzającym jarzmem, ale długotrwała walka zakończyła się ostatecznym zwycięstwem Rzymu, ponieważ nie załamał się moralnie i w zwycięstwo to nigdy nie zwątpił.

Rozmowa z ojczyzną — Lublin, 1935.
U przyjaciół — Lublin, 1935.
Demonom nocy — Warszawa, 1936.
Nagroda Młodych Polskiej Akademii Literatury.
Rozmowa z ojczyzną. Drugie wydanie — Warszawa, 1936.
Z dymem pożarów — Nicea, 1941.
Modlitwa na wojnę — Londyn, 1946,
Złota hramota — Paryż, 1954
Uczta zadżumionych — Paryż, 1954.
Komysze — Londyn, 1955.
W stanicy — Londyn, 1958.
Pieśń o Ukrainie — Paryż, 1959.
Droga powrotna — Londyn, 1961,
Kasydy i gazele — Londyn, 1961.
Czerwona wiosna — Londyn, 1965.
Terminatorzy rewolucji — Londyn, 1966.
Nożyce Dalili — Londyn, 1968.

W języku hiszpańskim:
Por nuestra libertad y vuestra — Madrid, 1945.
Literaturas eslavas — Madrid, 1946.